

rze
czy
nie
na
sy
co
ne



ANDRZEJ
CZCIBOR-PIOTROWSKI

rze
czy
nie
na
sy
co
ne

Andrzej Czcionkowski

(ur. 1931) – poeta, prozaik,
tłumacz literatury rosyjskiej,
słowackiej, bułgarskiej, czeskiej,
ukraińskiej i angielskiej,
pracował jako redaktor
w wydawnictwie KAW oraz
Instytucie Wydawniczym PAX.

W czasie drugiej wojny
światowej zesłany na Sybir,
przez Persję, Irak, Palestynę
i Egipt zawędrował do Anglii.
Do Polski wrócił w 1947 roku.

Zadebiutował w roku 1956
tomikiem wierszy *Oczy śniegu*.
Od tamtej pory wydał dziesięć
tomów poetyckich oraz cztery
powieści: *Prośba o Annę* (1962),
Rzeczy nienasycone (W.A.B.
1999) i ich dalszy ciąg:
Cud w Esfahanie (W.A.B. 2001)
oraz *Straszne dni* (2008).

Książka *Rzeczy nienasycone*
otrzymała nagrodę Biblioteki
Raczyńskich oraz znalazła się
w finale konkursu o Nagrodę
Literacką NIKE 2000.

Wkrótce nowa powieść autora –
Nigdy dość. Miracle.

rze
czy
nie
na
sy
co
ne

ANDRZEJ
CZCIBOR-PIOTROWSKI

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 1998
Wydanie II
Warszawa 2010

*Pamięci mojej mamy
poświęcam*

*Trzy rzeczy są nie nasycone,
a czwarta, która nigdy nie rzecze: Dosyć.
Piekło, łono białogłowskie, i ziemia, która się nie nasycy wodą,
a ogień nigdy nie mówi: Dosyć.*

Biblia w przekładzie ks. Jakuba Wujka, Prz 30, 15–16

Księga pierwsza SŁONE POLA

Ta trzecia

Nasza śliczna i zapobiegliwa mama, pani na włościach, zamierzająca gospodarować na kilkudziesięciu hektarach pól, łąk i lasów, z młynem i leśniczówką, i stawami, i niewielkim domkiem, który wkrótce miał być przebudowany na stylowy pałacyk czy dworek,

a więc nasza mama, teraz już ziemianka co się zowie, uległa prośbom swoich znajomych z Drohobycza, magistra farmacji i właściciela apteki przy rynku, Dawida Srebrzyńskiego, i jego żony, Salomei Ester Drzewieckiej, szkolnej koleżanki z lwowskiego gimnazjum Zofii Strzałkowskiej, przed ich wyjazdem pod koniec czerwca do Londynu, do krewnych, Silverów, Anglików od kilku pokoleń, i zgodziła się, aby oddali pod jej opiekę dwunastoletnią córkę, Sarę, chociaż ani mama, ani tym bardziej my, mój starszy brat, Renek, i ja, nie znaliśmy jej osobiście, widzieliśmy ją tylko na fotografiach: ładną czarnowłosą dziewczynę

o wielkich oczach wyciętych w kształt migdałów, w białej bluzce z marynarskim kołnierzem,

i teraz mieliśmy ją zobaczyć żywą i mieszkać z nią przez dwa miesiące wakacji na odludziu, w warunkach, o jakich nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, my, od urodzenia mieszcuchy, wychuchani paniczycy, kowie,

ale z Sarą i tak nie mogliśmy się równać: była bogatą jedynaczką, tak jak nasza mama, domyślaliśmy się więc, że może okazać się wyniosła i zarozumiała, że będzie nas traktować jak niedorastających jej do pięt smarkaczy,

wsiedliśmy więc do podstawionej przed ganek bryczki, zaprzężonej w parę kasztanków, by wyjechać po Sarę na stację kolejową w Rudnikach, bez gorących uczuć w sercu, raczej pełni niechęci do obcego gościa – zwłaszcza dziewczyny – mogącego zakłócić swoją obecnością ustalony rytm naszych wakacyjnych dni, które wypełniały wyprawy do lasu, kąpiele w rzece, podglądanie pluskających się na golasa ukraińskich dziewczuch z pobliskich wsi i bójki z miejscowymi chłopakami, jeśli nie spotykaliśmy naraz większej czeready tych rozwrzeszczanych smarkaczy, lecz tylko dwóch, trzech, tłukliśmy się do pierwszej krwi, bez złości i nienawiści, potem zaś następowało pojednanie zwycięzców i pokonanych, a raz my okazywaliśmy się górą, raz – częściej – oni,

i teraz jechaliśmy na stację, powoziła mama, śliczna w prostej bawełnianej chłopcze, konie szły równo, pylna droga głużyła turkot kół i odgłos kopyt, wzbijających kłę-

by kurzu, żółtego jak przydrożne kaczeńce, mama siedziała w milczeniu na przednim siedzeniu, zamyślona i jakby zatroskana, a my, mój brat, Renek, i ja, dokazywaliśmy na tylnym i wygadywaliśmy z całą powagą niestworzone rzeczy: że nie będziemy się z dziewczuchą bratać, że pokażemy jej, gdzie raki zimują, że nie pozwolimy na żadne dziewczynskie czułości, na całowanie się przy powitaniu, że bawić się będziemy razem tylko wtedy, kiedy zechcemy, że, słowem, my będziemy tu niepodzielnie rządzili, a nie baba, choć jest o kilka lat od nas starsza,

a tymczasem wjechaliśmy w nurt rzeki, która nagle przegrodziła nam drogę: nie było tu mostu ani przeprawy promowej, konie bezbłędnie odnajdowały szlak przez płyciznę, bród jednak okazał się głębszy: koła nie dotykały już dna, wartki nurt zaczął znosić bryczkę na głębinę, ale mama prowadziła konie pewną ręką, niebawem koła znów odnalazły dno i wytoczyły się na mieliznę przy drugim brzegu, a potem ociekający wodą koczyk jechał dalej polną drogą pośród łąk, po których dostojnie i z godnością kroczyły bociany, raz po raz pochylając się i kłapiąc długimi czerwonymi dziobami,

i wsłuchiwalismy się w głos mamy, która ni stąd, ni zowąd zaczęła śpiewać po ukraińsku niskim, ciepłym głosem:

Rewe ta stone Dnipr szyrokyj...

a potem znów, po kilku strofach, tę pieśń, którą tak lubiliśmy:

*Uziałby ja banduru
taj zahrał, szczo znał...*

i nie dopatrywaliśmy się w tym wyborze niczego dziwnego, bo mama – jak wiedzieliśmy – miała w szkole obok Polek, Ormianek i Żydówek koleżanki Ukrainki, które nauczyły ją swoich ludowych pieśni, tak jak mama śpiewała im polskie, wśród nich tę, którą zanuciła właśnie, a my podjęliśmy melodię i słowa:

*Wina, wina, wina dajcie,
a jak umrę, pochowajcie
na zielonej Ukrainie,
przy kochanej mej dziewczynie...*

i stawaliśmy się braćmi-sokołami, i dodawaliśmy sobie nawzajem i naszej mamie sił i otuchy, i wszyscy, cała nasza trójka, czuliśmy się tacy szczęśliwi i w krótkim, z głębi serca płynącym akcie strzelistym dziękowaliśmy Panu Bogu, że nas stworzył, że po prostu jesteśmy, że świat jest taki nieprawdopodobnie piękny i tak nam dobrze, że jesteśmy razem...

a jedyny cień – to nieobecność naszego taty, powołanego jeszcze w zeszłym roku do wojska i przebywającego

wraz ze swoją jednostką sanitarną to tu, to znów tam, i piszącego do nas listy, i przesyłającego zdjęcia (a wśród nich to: papa na kasztance jak sam Marszałek!), i zjawiającego się z rzadka i niespodzianie we wspaniale skrojonym oficerskim mundurze, w wysokich butach, lśniących zawsze jak lustro, i z pistoletem walther w kaburze na pasie z koalicijką,

a tak mu ich, i tego pasa, i koalicijki, i kabury z pistoletem, zazdrościliśmy, że sprawił nam takie same pasy z koalicijką i kaburą, i straszakiem zamiast walthera, i Renek omal nie stracił wzroku, bo strzelając, trzymał tę swoją broń tuż przy oczach i proch osmałił mu rzęsy i rogówkę, i kilka dni po zabiegu, który mama przeprowadziła własnoręcznie, bo nie na darmo była okulistką, chodził z czarną przepaską jak król piratów,

i wkrótce wyjechaliśmy na gościniec, kopyta zakłaskały wesoło do wtóru turkotowi kół na twardym podłożu, i usłyszeliśmy ten dziwny dźwięk: to odezwały się druty telegraficzne, rozpięte na przydrożnych słupach, które doprowadziły nas aż przed budynek stacji z napisem

RUDNIKI

i zatrzymaliśmy się na placu przed dworcem, obaj z Renkiem zeskoczyliśmy – po mamie – z bryczki i zdjąwszy uździenice, zawiesiliśmy koniom na karkach wytaszczone spod przedniego siedzenia worki z obrokiem, ze smakowitym owsem, który zwierzęta zaczęły chrupać, przymknąwszy oczy, a my we trójkę wyszliśmy na peron

i mama spytała zawiadowcę, czy pociąg ze Lwowa przyjedzie punktualnie, i uspokojona usiadła na ławeczce, my zaś biegaliśmy po pustych torach, udając to lukstorpedę, to ręczną drezynę, na przemian,

i nie czekaliśmy długo: nie minęło nawet pięć minut, a już usłyszeliśmy nadjeżdżający pociąg, sapanie i gwizd lokomotywy, i stukot kół na rozjazdach, i maszynista zatrzymał niewielki skład gładko, bez szarpnięć, tuż przed tablicą z nazwą stacji, i z wagonu osobowego wysiadła tylko jedna pasażerka:

poznaliśmy ją od razu – to była Sara, z małą walizką w ręku, w białej powiewnej sukience, białych podkolanówkach, w białych pantofelkach na koturnie i w białym kapelusiku ze wstążkami na głowie, spod którego wypływały pukle czarnych jak smoła włosów,

dziewczyna podeszła do mamy, podała jej rękę, ale mama objęła ją, uściskała i ucałowała w oba policzki, i powiedziała:

– Witaj, doniu, tu u nas, na wsi! – i dodała, przedstawiając nas po kolei: – A to są moi synowie: Ireneusz i Andrzej. Mam nadzieję, że się polubicie!

a Sara, jakbyśmy się znali od niepamiętnych czasów, rzuciła się nam na szyję: najpierw Renkowi, który jednak nie okazał się zadowolony z tej poufałości i natychmiast się od niej odsunął, a potem mnie – a ja właśnie stałam się Utą, dziewczyną, a więc przytuliłam się do Sary, pocałowałam ją w usta, a ona, wcale nie zdziwio-

na, odpowiedziała mi uściskiem i długim pocałunkiem, a wreszcie oświadczyła, tak jakby nic nie mogło się przed nią ukryć:

– Na pewno zostaniemy przyjaciółkami! Nerozłącznymi!

a ja, przejęta i zachwycona, szepnęłam:

– Bardzo bym tego chciała! Mój Boże, jaka ty jesteś piękna!

i żałowałam, że jestem w spodniach, a nie sukience, że nie mam we włosach wstążek i kokard, a pod sukienką cieniutkich batystowych majteczek, jakie na pewno nosiła Sara, wzięłam z jej rąk walizczkę, która wcale nie okazała się ciężka, i podałam Renkowi (przecież my, dziewczyny, nie będziemy jej dźwigać!), i wszyscy ruszyliśmy do bryczki, brat upchnął bagaż, zdjął worki z obrokiem z końskich łbów, schował je pod przednie siedzenie, a potem demonstracyjnie usiadł tam obok mamy, tak że tylne pozostało dla nas, dla Sary i dla mnie, mama ujęła lejce, cmoknęła, konie ruszyły, bryczka potoczyła się po kocich łbach, potem wjechaliśmy na polną drogę, wiodącą do brodu na rzece,

a ja tuliłam się do Sary, słuchając jej opowieści, a tak wiele miała do powiedzenia: o domu i rodzicach, o szkole, o koleżankach i kolegach, o księdzu katechecie i profesorach, o lekcjach rysunków – tak jak nasza mama bardzo je lubiła – o randkach i flirtach z chłopakami, którzy za wszelką cenę usiłowali skraść dziewczynie całusa, dotknąć

piersi czy nawet – cóż za śmiałkowie! – wsunąć rękę pod spódniczkę, na co zresztą (szepnęła to i lekko się zarumieniła) chętnie pozwalała,

a ja, słuchając jej, myślałam:

„Jak to dobrze, że Sara przyjechała! To nic, że Renek trochę się boczy! Jesteśmy teraz trzy: mama, Sara i ja, Uta, bo przecież mimo sławetnych postrzyżyn i zmiany stroju wciąż jestem dziewczyną i mam teraz przyjaciółkę, siostrę, tak bardzo podobną do naszej mamy, i chcę – Boże, jak ja bardzo tego chcę! – być taka sama jak ona!”

i kiedy po drodze Sara poprosiła, żeby mama zatrzymała na chwilę konie, i zeskoczyła z bryczki, i ja pobiegłam za nią w przydrożne krzaki, gdzie przykucnąwszy obok siebie i ściągnąwszy, co trzeba, i wypiąwszy okrągłe dupięki, zrobiliśmy siusiu, a gdy Sara podniosła się, aby podciągnąć majtki, spostrzegłam, że jej pulchne podbrzusze nie jest podobne do mojego, gołego jak dopiero co wyłęgnięte pisklą, że Sara ma tam na tym wzgórku puchatą czarną mufkę, i posmutniałam, i poczułam żal, a nawet może zazdrość, Sara jednak wiedziała wszystko i znała moje myśli, i pozwoiliwszy opaść sukience, pocałowała mnie i uspokoiła:

– Nie martw się, Uto! I tobie już wkrótce wyrosnie tam czarna grzywka!

i wróciłyśmy do bryczki, słońce niemrawo wspinało się na ukos po niebie, dzień zapowiadał się upalny i gdy konie ruszyły znów z miejsca, mama powiedziała:

– Zaraz po śniadaniu pójdziemy nad rzekę...

a ja już wyobraziłam sobie, jak nagie i mokre leżymy obok siebie na piasku i Sara przekonuje mnie o tym, jak to dobrze, jak wspaniale być dziewczyną, i że chłopcy nie mogą się z nimi równać, i patrząc na nią i na mamę, gotowa byłam przyznać Sarze rację.

Dziewczynka czy chłopiec

Przez kilka lat z woli i upodobania mojej pięknej mamy byłam dziewczynką: w długie, najpierw złociste, a potem kasztanowate włosy wplatanو mi wstążki i przypinano kokardy, nosiłam sukienki, a pod nimi skąpe batystowe majteczki, więc jako Uta (a był to skrót od mamusinego słowa laluta, laleczka!) od najmłodszych lat znałam dziewczynki lepiej niż moi rówieśnicy o smuklejszych niż moje biodrach, a one ufnie i serdecznie przyjmowały mnie jako jedną spośród siebie, choć troszkę się dziwiły, że rozebrana do naga różnię się od nich, ale ta różnica okazała się tak niewielka, że nie przeszkadzało nam to bawić się wspólnie lalkami, czesać sobie nawzajem z czułością długie włosy, zachowywać się jednakowo: paplać i chichotać, rozczulać się i płakać z byle powodu, a potem pocieszać się nawzajem, ścisnąć i całować, i słuchać z wypiekami na twarzy, jak co starsze z nas szepczą o chłopakach,

ale pewnego dnia – a właśnie zaczynały się wakacje – urwało się to nagle i wcale nie wiem na pewno, czy czułam się szczęśliwa, kiedy zaprowadzono mnie do fryzjera, który długo nie chciał uwierzyć, że jestem chłopcem, ale w końcu uległ namowom, obciął moje śliczne długie loki i uczesał z przedziałkiem, z krótką grzywką spadającą na czoło,

a gdy spojrzałem w lustro, już nie w sukience, ale w koszuli z wykładanym à la Słowacki kołnierzem i w krótkich spodenkach, rozplakałem się, bo wydałem się sobie – przywrócony chłopięctwu – zupełnie kimś innym, więcej, byłem kimś innym:

Uta umarła, narodził się Andrzej, Jędrus, Drzejek, nadal ulubieniec ślicznej i kapryśnej mamy, która wreszcie pogodziła się z tym, że obok pierworodnego, Ireneusza, Renka, ma drugiego syna, a nie córkę, której tak bardzo pragnęła, aby rok po roku odnajdować się w niej, odradzać,

słowem: Uta przestała istnieć, aby brat miał brata, a nie siostrę, ale ta siostra nie od razu przestała we mnie trwać, często przyłapywałam się na tym, że myślę i postępuję, i czuję po dziewczynsku, zakochywałam się w kolegach, patrzyłam na nich zalotnie, trzepotałam rzęsami i wzdychałam, a w klozecie nie siusiałam na stojąco, ale siadałam na desce, a jeśli musiałam to zrobić pod gołym niebem, podczas zabawy na graniczącej z domem dziadków parceli albo na wycieczce, w lesie lub na łące, opuszczałam spo-

denki i zsuwałam majtki, i przykuciałam jak dziewczynka, i wypinałam krągłą pupę, i lubiłam to, i sprawiało mi to przyjemność, zwłaszcza gdy patrzyli na mnie chłopcy, i ten mój szósty, siódmy, ósmy rok życia (a chodziłam już od dwóch lat do szkoły!) były wciąż dwupłciowe:

wśród dziewcząt czułam się dziewczyną, wśród chłopców – prawie chłopcem, choć moje szerokie biodra i drobna ułomność, którą często udawało mi się ukryć, nie pozwalały we wszystkim się z nimi równać, ale czułość dziewcząt po stokroć mi to wynagradzała i nigdy się nikomu, nawet starszemu bratu, nie skarżyłem, bo i czemuż miałbym się skarżyć, skoro czułem się o tyle bogatszy, o tyle hojniej obdarowany...

i to Sara, z tą swoją śniadą cerą i migdałowymi oczyma, wszystko we mnie zmieniała, choć z początku, w pierwszych dniach jej pobytu na wsi, byliśmy serdecznymi przyjaciółkami: chodziłyśmy razem, objęte w pół, na długie spacerunki w pola albo po lesie, zwierzałyśmy się sobie i całowałyśmy się w usta, kąpałyśmy się nago w stawie albo w rzece, nie zwracając uwagi na to, że tak zupełnie to nie jesteśmy do siebie podobne, a kiedy zmęczone pływaniami i pluskaniem się w wodzie kładłyśmy się na piasku czy trawie, aby wyschnąć na słońcu, Sara opowiadała mi, jak to wspaniale być dziewczyną, i że ja to chyba sama dobrze wiem i rozumiem,

aż ja, patrząc kiedyś na nią, na jej śniadą, niemal płaski brzuch, przecięty u dołu wzdłuż wąską bruzdeczką,

ocienioną czarnym pomponem włosów, gęstych i skręconych jak karakuł, i na toczącą się z góry, spod głębokiego pępka, kroplę wody, nagle zerwałem się, zbliżyłem się do niej, ukląknęłam między jej uniesionymi kolanami, pochyliłem się i zlizalem językiem tę prześwieconą słońcem kroplę, złocistą jak okruch bursztynu,

i Sara leżała przez chwilę bez ruchu, a potem wyciągnęła do mnie ramiona i powiedziała cicho, by nie usłyszała mama, która schroniła się w cieniu pobliskich krzaków i usnęła:

– Chodź!

i przyciągnęła mnie do siebie, i położyłem się na niej, między jej rozchylonymi udami, i przywarliśmy do siebie mocno, i w tym ciasnym uścisku nasze ciała schły szybciej, i wydawało mi się, że słyszę, jak krople wody na naszej napiętej skórze przemieniają się z sykiem w parę,

i teraz już wiedziałem na pewno, że nie mogę dłużej być Uta, przyjaciółką Sary, że jestem Andrzejem, Jędrusem, Drzejkiem, i że mam swoją pierwszą prawdziwą przyjaciółkę – już jako chłopiec z krwi i kości, że Uta naprawdę odeszła, aby ta przemiana mogła się dokonać,

i nie wiedziałem – bo skąd? – że nie minie nawet rok, a zostaną od Sary oderwany, że rozdzieli nas tysiące wiorst i że już nigdy jej nie zobaczę, i że Uta – niespodzianie – powróci.

Mężczyźni czasu wojny

Najłatwiej dostać się tam z podwórka kamienicy naszych dziadków: wystarczy wspiąć się na blaszany kubek na śmieci, uchwycić się rękoma za występ muru, zręcznie unikając wtopionych w cement odłamków zielonkawego szkła z butelek po piwie, podciągnąć się na ramionach i osiągnąwszy całym ciałem wierzchołek, skoczyć na obie nogi wprost w gęstą, nigdy niekoszoną trawę po drugiej stronie:

tu zaczynała się parcela, niezabudowany obszar, lekko pochyły, wspinający się łagodnie ku ulicy Kurkowej, w dolnej części graniczący wysokim parkanem z ulicą Miączyńskiego, a boki przylegający do rzędu domów, bez wyjątku dwupiętrowych, zbiegających pod kątem prostym w dół, do Łyczakowskiej,

a więc właśnie z naszego podwórka najczęściej, po powrocie z wakacji w Rudnikach, przedostawaliśmy się na tę rozległą parcelę, porośniętą bujną trawą, gęstymi krzakami i młodymi drzewkami, które zaczynały już z wolna wychylać się i zza muru, i zza parkanu, bo właściciel chyba o niej zapomniał,

i ta śródmiejska preria stanowiła miejsce naszych codziennych zabaw, moich, mojego starszego o półtora roku brata, Renka, rówieśników z pobliskich domów, a także do niedawna jednej tylko dziewczyny, pulchnej

Andzi o grubych udach i dużej pupie, a teraz także Sary, która została z nami po wiejskich wakacjach,

a właśnie zaczynała się jesień pierwszego roku wojny, która niewiele zmieniła w naszym rozkładzie dnia i upodobaniach, nie chodziliśmy tylko do szkoły i całymi dniami się bawiliśmy,

i tak na przykład z zapałem urządzaliśmy zawody: kto (nie wyłączając dziewczyn) zrobi najładniejszą i najbardziej niezwykłą kupkę, a oceniało się i konsystencję, i kształt, i kolor, i połysk (zdarzały się piramidki, torciki, obwarzanki, kiełbaski, parówki, rogałe i misterne spirale, zakończone ozdobnym szpicem jak choinka świąteczna), i przyglądaliśmy się im z uwagą i z bliska, by niczego nie przeoczyć, bo otwarta przestrzeń niemal natychmiast pochłaniała nieprzyjemny zapach,

albo zakładaliśmy się, kto, wspiąwszy się na pagórek, najdalej siknie – i tu dziewczyny nie miały nic do powiedzenia,

kiedy indziej znów one, Andzia i Sara, były górą: wciskaliśmy im w garść każdy po dziesięć groszy, a one pokazywały nam to, czym się od nas różniły: Sara stawała przy murze, unosiła kusiutką spódniczkę i odciągała daleko gumkę skąpych majteczek, tak że mogliśmy z góry wpatrywać się – byle nie za długo, bo wówczas czekał nas bolesny kuksaniec – w jej śniade, przepołowione wąsko podbrzusze, pozbawione owego ślicznego małego dyndza, którym tak się chełpiliśmy, pokazując

go sobie nawzajem, ale Sara nie wymagała wzajemności: po prostu pozwalała nam patrzeć na swoją pulchną, puchatą cisię z miną dobrodziejki, wyświadczającej nam wielką łaskę,

inaczej Andzia: opuszczała majtadały poniżej kolan i obracała się w koło, szybko, tak że wydawało się nam, że jest taka sama z przodu jak i z tyłu, i pochylała się, abyśmy to naprawdę dobrze zobaczyli,

my jednak myśleliśmy sobie w duchu, że widzieliśmy nie takie cuda, nie takie mecyje, bo przecież nie ukrywały przed nami swojej nagości nasze mamy, ciotki, stryjenki i wujenki, cioteczne, wujeczne i stryjeczne siostry i inne miłe kuzyneczki, a na wsi, niedaleko Rudnik, w mająteczku ziemskim kupionym przez mamę w maju, na kwartał przed wrześniem tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, podglądaliśmy kąpiące się goło w rzece ukraińskie dziewczuchy: kołysały wielkimi, pełnymi piersiami, miały gęsto upierzone podbrzusza i pękate zady, i słyszeliśmy ich rozmowy i gardłowy śmiech, i słowa rusińskich piosenek, jakie wyśpiewywały dźwięcznymi, donośnymi głosami:

*Oj, ne chody, Hryciu, taj na weczernyciu,
bo na weczernyci diłki czarounyci...*

i to one właśnie wydawały się nam tymi młodymi kuszącymi czarownicami, gotowymi rzucić urok czy za-

klęcie, a rumieniec pokrywał nam policzki, gdy podejmowały inną pieśń:

*Nas rano, nas rano maty budyła
i tychuju, tychuju pisniu nutyła...*

bo znaleźliśmy już niektóre sprośne, nieprzyzwoite wyrazy, tak że dla zabawy niewiniątkom i żółtodziobom kazaliśmy powtarzać szybko, raz po raz:

– Papier w dole! Papier w dole!

choć na dobrą sprawę nie bardzo jeszcze wiedzieliśmy, na czym to polega, i kojarzyło się nam to z psuciem powietrza,

a zresztą i Andzia już od zeszłego roku, a teraz także Sara również nas znały, choć nigdy nie pokazywaliśmy im naszych pisiów wszyscy naraz, ale kiedy bawiliśmy się w doktora albo w mamę i tatę, dziewczyny sięgały nam pod spodenki i ścisnęły w dłoni nasze apintasy, tak jak my wkładaliśmy ręce pod ich majtki, dotykając nie bez przyjemności u jednej kosmatej, u drugiej zaś gładziutkiej jak u niemowlęcia, miękkiej i soczystej cisi,

żadna ze stron nie miała więc przewagi i wydawało się nam, że sprawiamy i Andzi, i Sarze przyjemność, przypatrując się z nieudawanym zaciekawieniem ich pachwinom, a i one nie czuły się pokrzywdzone: mogły pokazywać się nam do woli, a przy tym zarobiły ładnych parę groszy,

i kiedy tak raz bawiliśmy się w najlepsze, nagle odezwały się syreny ogłaszające nalot, wszyscy rozpierzchli się, a my, mój brat i ja, nie zastanawiając się długo, wbiegliśmy do domu i ze strychu wspięliśmy się na dach:

wkrótce pojawiły się samoloty z czarnymi krzyżami i choć były gęsto ostrzeliwane przez zenitówki naszej artylerii przeciwlotniczej i przez nas, krzyczących głośno:

– Tratatata!

jakbyśmy mieli co najmniej działko szybkostrzelne, zdążyły zrzucić bomby, trafiając w pobliskie koszary: słyszeliśmy odgłosy wybuchów, widzieliśmy chmurę kurzu, dym, płomień, Łyczakowską nadjeżdżały samochody straży pożarnej i karetki pogotowia,

i samoloty odleciały, strzały ucichły, ale choć nalotu jeszcze nie odwołano, nie zeszliśmy do schronu – wśliźniliśmy się do salonu z wielkim lustrem w złożonych ramach, fortepianem i stylowymi meblami i całowaliśmy się na przemian z Sarą, która też się tam niespodzianie znalazła,

cóż to były za pocałunki – wszyscy troje mieliśmy twarze mokre od brody po czoło, ale czuliśmy się wspólnie: byliśmy mężczyznami czasu wojny i mieliśmy swoją kobietę, którą obroniliśmy i która teraz okazywała nam wdzięczność.

Cóż to za niesamowita
polityczno-erotyczna
baśń syberyjska,
w której ból wygnania
i lęk przed samotnością
łączą się ze światłem
miłości.

Stefan Chwin

Lato 1939 roku.
Dziewięcioletni Andrzej,
syn polskiej rodziny inteligentkiej
ze Lwowa, spędza wakacje na wsi
w towarzystwie kuzynki Sary,
nad wiek dojrzałej, która
wprowadza go w sferę erotyki.
Tożsamość seksualna Andrzeja
jest zachwiana – raz po raz staje
się on dziewczynką o imieniu Uta.
Ta niemalże fizyczna dwoistość
pozwala mu jeszcze intensywniej
doświadczać rzeczywistości.
Kiedy Armia Czerwona
wkracza do Polski, Andrzej
czeka rozłąka z ojcem, w końcu
zesłanie wraz z matką i bratem
do Kazachstanu. Jednak okrutna
historia nie jest w stanie zniszczyć
świata, w którym naprawdę żyje
chłopiec. Jest to świat jednego
boga – Erosa. I wielu bogiń –
matki, opiekunek, przyjaciółek
i kochanek.

WWW.WAB.COM.PL

9 78-83-7414-851-1



9 788374 148511

cena 39,90 zł

Patronat medialny:



ŻYCIE WARSZAWY.PL

Wydanie
ab
two